

mowanie prawidłowych czynności naszego organizmu gospodarczego.

O ile nie zrozumiemy tej tak prostej, a tak dalekiej od nas prawdy, że, być może, niemal każdy z nas ponosi jakąś winę wobec skarbu i, że prawie nikt o zmazaniu tych win nie myśli — obracać się będziemy w błędnym kole wzajemnych zarzutów, żalów i utyskiwań.

Z TYGODNIA.

— O: —

SPRAWY ZAGRANICZNE.

Sprawa Górnego Śląska została przez Radę Ligi Narodów oddana do rozpatrzenia komisji, złożonej z przedstawicieli Belgii, Brazylii, Hiszpanii i Chin.

P. Hymans, przedstawiciel Belgii w Radzie Ligi Narodów, który podjął się pośrednictwa w sporze polsko-litewskim o Wilno, proponuje obecnie wcielenie Wilna do Litwy z zachowaniem dla Wileńszczyzny autonomii prowincjonalnej. Projekt ten wywołał wśród polskiej ludności Wileńszczyzny powszechne oburzenie. Prasa polska wszystkich odcieni jaknajgoręcej przeciw niemu protestuje!

Na pograniczu Austrii i Węgier od kilku dni trwają zaciete walki między regularnym wojskiem austriackim a powstańcami węgierskimi.

Rokowania angielsko-irlandzkie trwają w dalszym ciągu. Lloyd George jest podobno skłonny do daleko idących ustępstw, wątpliwe jest jednak, czy zadowolą one Irlandczyków, którzy pragną całkowitej niepodległości.

Posel bolszewicki w Warszawie Karachan zarzuca Polsce niedotrzymywanie zobowiązań, wynikających z Traktatu pokojowego w Rydze. Rząd polski — ze swej strony — niejednokrotnie już zaznaczał, iż własne władze sowieckie nie wykonują lojalnie postanowień Traktatu, gwałcąc je przy każdej sposobności. Polska pragnie jaknajściślej wykonywać wynikające z Traktatu ryskiego zobowiązania, żąda jednak, aby władze sowieckie również ściśle się do niego stosowały.

SPRAWY WEWNĘTRZNE.

Prezydent ministrów Witos postanowił podać się wraz z całym gabinetem do dymisji. „Zespół stronnictw centrowych”, na których rząd Witos się opierał, oświadczył, iż „całkowicie podziela jego zapatrywanie co do potrzeby niezwłocznej dymisji całego gabinetu”.

Strajk pracowników miejskich w Warszawie zakończony został w poniedziałek dn. 5 b. m.

W Warszawie odbył się Zjazd Katolicki przy licznym udziale delegatów, zarówno z Polski, jak i z państw zagranicznych.

Prof. Teodor Dydyński zmarł w Warszawie, przeżywszy lat 85. Był on jednym z najznakomitszych badaczy prawa rzymskiego w Polsce.



Linje papilarne.

Zwłoki adwokata Junona Webstera, znaleziono już późnym rankiem, w jego własnym mieszkaniu, mianowicie w gabinecie, raczej buduarze, przeznaczonym na poczekalnię dla klientów.

Webster prowadził sprawy rozwodowe. Był angikiem, więc w Londynie wśród publiczności protestanckiej nie mógł liczyć na klientelę.

Przeniósł się do Dublina, ponieważ Irlandczycy jako rzymscy katolicy, sprawy rozwodowe załatwiali za pośrednictwem Rzymu.

Webster w ciągu dziesięciu lat pobytu w stolicy Irlandji, kilku szczęśliwymi zabiegami zdobył sobie klientelę wśród zamożnych sfer mieszczańskich.

Człowiek dość jeszcze młody i już zamożny, do tej pory nie przerywał kawalerskiego żywota. Ruchliwy i wiecznie zapracowany, był guchym i obojętnym na głosy pań z towarzystwa, pragnących dobrej partji dla swoich córek i protegowanych krewniaczek. Tłumaczył się, iż nawał pracy uniemożliwia mu zapuszczanie się w labirynt starań o rękę tej lub owej młodej osoby.

Istotnie, prowadził tryb życia spokojny i jednostajny. Dzień zasławał go przy biurku zapelnionem aktami, wieczory przepędzał w klubie, nocą, w swoim wązkim łóżku kapłana celibatu.

I oto śmierć nieoczekiwana dla otoczenia, śmierć nagła, przecięła pasmo jego pracowitych dni.

Sąsiedzi i dependenci przyczynę zgonu tłumaczyli aneuryzmem serca. Zmarły — mówio-

no — skarżył się niekiedy na brak tchu oraz szmery z lewej strony wypukłej, męskiej piersi.

Detektyw z najbliższej stacji policyjnej słuchał uważnie zeznań swoich przypadkowych konfidantów, co jednak nie zaspokajało widocznie jego wścibskiej ciekawości.

Zwrócił uwagę na niemłodą damę o szanownej powierzchowności i poprosił ją do pokoju przyległego do opisywanego buduaru.

— Pani jesteś odzwierną w tym domu?

— Tak panie, nazywam się Marta O'Connel i spełniam tu moje obowiązki od lat prawie dwudziestu.

— Bardzo miło to cieszy — odrzekł jowialnie. Poproszę zgromadzonych panie i panów, żeby sobie poszli na złamanie karku i nie przeszkadzali nam w rozmowie.

Po chwili w mieszkaniu denata było pusto i spokojnie. Jedynie w przedpokoju, siedział na szlabanie siwawy policjant, któremu wywiadowca wydał rozkaz trzymania drzwi od sieni pod kluczem i nie wpuszczania żywego ducha.

— Droga pani O'Connel — rzekł wywiadowca, — teraz gdy nam już nikt nie przeszkadza, będziesz tak dobra odpowiadać na moje zapytania. Mówiąc szczerze i nic nie ukrywając, spełnisz pani zaszczytny obowiązek obywatelki, która dopomaga do wymierzenia sprawiedliwości i ukarania zbrodni.

— Wszystko to rozumiem mój panie. Jestem szczerą irlandką i raz na miesiąc chodzę się spowiadać i komunikować. Możesz pan na mnie polegać.

— Zatem mów pan! Zmarły Webster przyjmował niemało gości?

— Mężczyzn i kobiety, ale najwięcej kobiet. Nie jest to wcale dziwne, bo wszak żył z tych gości.

— Niektórzy goście odwiedzali go również wieczorem?

— O, nieraz do późnego wieczora. Jako odzwierna miałam na to zwrócone oko.

— Mieszkasz pani na pierwszym piętrze, nad bramą. Okno łoży pani wychodzi na okna mieszkania adwokata?

— Wiem, o co panu chodzi. Z mego okna mogłam istotnie widzieć wszystko, co się działo w jego gabinecie, naturalnie o ile okna nie zasłaniał roleta.

— Wtedy na zasłonie jak na ekranie odbijały się cienie osób.

— O, nie. Lampa na biurku, o czy pan widzi, jest tak daleko wysunięta ku oknu, że cienie od światła padają nie na zasłone, lecz w głąb pokoju.

— Małżeństwo, zajmujące pokój przy kuchni zapewnia, że po godzinie 10-ej wieczorem, zawsze i bez wyjątku udawało się na spoczynek. Myślisz pani, że jest to prawdziwe?

— Przysięgnę przed ołtarzem św. Patryka, że mówię prawdę. Jej mąż, listonosz, po wyczerz, znużony pracą całego dnia, o tej porze kładł się do łóżka, ona za nim. Adwokat miał klucz od drzwi frontowych i sam je sobie otwierał.

Detektyw wskazał jej fotel, sam, nie zamykając drzwi za sobą, przeszedł do pokoiku w którym na miękiej jedwabiem wybitej otomance, w pół leżały zwłoki. Obejrzał je dokładnie, spróbował sztywności palców u rąk i starał się zgnać jedną nogę w stawie kolanowym, co mu się nie udało. Teraz, bardzo zwolna obchodząc pokój, pilnie badał ślady na miękkim dywanie i na rozmaitych przedmiotach.

— Wczorajszego wieczora — zagadnął odzwierną — była tu kobieta?

— Było kilka pań. Wiele z nich umyślnie przychodziło w godzinach późniejszych. Pan wie, gdy taka dama robi starania o rozwód, krępuje się i chce uniknąć cudzych oczu; to ją w każdym razie krępuje.

— Ostatni raz kiedy otwierałaś pani furtkę wczoraj wieczorem i komu?

— O godzinie 11-tej... tak, wiem to dokładnie. Nasi lokatorowie mają własne klucze od bramy. Otwierałam pani wysokiej i szczupłej... Odwiedzała pana Webstera już przeszło od roku i zawsze powracała dopiero przed północą.

— Doskonale! Jak wyglądała? Musiałaś pani pomimo woli zaglądać jej w oczy?

— Niestety, nie. Była coraz inaczej ubrana i za każdym razem twarz miała zasłoniętą gęstym woalem. Dzwoniła do mojej łoży i opuszczała dom w zupełnym milczeniu.

Detektyw syknął na znak niezadowolenia po wysłuchaniu odpowiedzi. Powrócił do pokoju żałobnego. W pobliżu otomanki stał mały stolik w guście indyjskim, którego blat z delikatnej maty, był zasłany rzadkimi sztychami,

przykryty kryształową szybą szklaną. Na szkle stała popielniczka z trzema niedopałkami papierosów i popiołem. Nadto, spoglądając pod światło, dostrzegł okrągłe ślady jakby spodu kieliszka lub flaszeczki aptecznej. Jedno z tych kółek było wypukłe od zaschniętego płynu.

— Aha, nareszcie! — szepnął, zauważywszy na brzegu tafli kilkakrotnie odbite, nawet pod gołym okiem łatwo odróżniające się ślady palców.

— Nareszcie! — dodał z pewną ulgą. — Teraz przynajmniej wiem, czego się mam chwycić.

Odprowadził starą kobietę i rozejrzał się dookoła. Przeszedł do gabinetu i przyniósł z tamtąd książkę in folio w twardej, grubej okładce. Z nadzwyczajną starannością, przy pomocy pocjana, zdjął tafle i przestawił na księgę.

W kredensie pokoju stołowego znalazł dwa korki, które przeciął po połowie i rozstawił na rogach szyby, poczem zdjął ze ściany akwarelę przyklejoną do grubej tektury za szkłem i położył na korkach. W końcu, pracując nad tem prawie godzinę, wszystko to owinął w gazety i gęsto a dokładnie obwiązał szpagatem.

— Skończyłem — rzekł do policjanta. — Odchodzę i polecam waszej opiece mieszkanie wraz ze zwłokami. Gdy przyjdą urzędnicy sądowi, powiedzcie, że już tu byłem.

Po wyjściu na ulicę, skinął na dorożkę samochodową i kazał jechać na główną stację policyjną. Z bramy wszedł do oficyny poprzecznej, przez drzwi, na których widniał napis: „Pracownia wydziału kryminalnego policji”.

Znalazł się w bardzo obszernej sali, której sufit opierał się na cienkich, żelaznych filarach, ściany sali aż pod sklepienie były szczelnie zastawione szafami oszklonemi. Stały tam na półkach przedmioty rozmaitego użytku i znaczenia, począwszy od mnóstwa naczyń, jak w aptece aż do kartotek, narzędzi i aparatów optycznych, chemicznych i t. p.

Pośrodku stało kilka wielkich stołów i biurerek; z otwartych wielkich podwoi rozciągał się widok na pracownię fotograficzną.

Detektyw zatrzymał się przed stołem poważnego, rudego mężczyzny, zajętego spoglądaniem pod światło na płyn zmieszany w retortcie:

— Ha, Bob, stary Bob! — rzekł wesoło, odrywając się od pracy i dopomagając detektywowi przy rozpakowaniu jego paczki — to się robi, wszystko się robi. Hej tam! — skinął na młodego laboranta. — Poprosić mi dra Stendera, naszego nudnego mistrza od daktyloskopji. Niech mi tu pospieszy i później nie marudzi, żem mu popsuł i zatarł jego linje papilarne.

Z bocznych drzwi przybiegł jegomość niskiego wzrostu, okrągły i w swoim białym fartuchu bardziej podobny do kucharza niż do badacza.

— Nie rozpakowujcie bezemnie — zapiszczał fletowym głosem — to dobrze, to bardzo dobrze. Umiałem nareszcie nauczyć was szcunku dla moich linii papilarnych, niegodziwcyl!

Powiedział to żartobliwie i jak tylko odstąpił tafle, sięgnął po wielką, okrągłą lupę i pochylił się nad szybą.

— Kobieta, palce kobiety, zawsze te kobiety, *cherchez la femme*... — dowcipkował.

W pewnej chwili sięgnął do łańcuszka u zegarka i utworzył sporych rozmiarów medalion na którego czarnych owalnych szybkach, obecni dostrzegli dwa umieszczone naprzeciwko siebie odbicia palców.

Dr. Stender rzucił wzrokiem na tafle, raz jeszcze sprawdził swoje wyniki z treścią medaljonu, odwrócił się i w milczeniu, powolnym, ociężałym krokiem powracał do swego gabinetu.

W chwilę potem, ścianami wielkiej sali wstrząsnął huk wystrzału rewolwerowego.

Daktyloskop leżał na podłodze z czołem przebitym kulą.

Kobieta, która oszołomiła, później otruła adwokata Webstera, była jego kochanica, zarazem żoną samobójcy, drowa Stendera. Zgładziła prawnika z zemsty, iż bez jej wiedzy, nie przerywając z nią stosunków zażyłej miłości, chciał się ożenić z panną o wielkiej fortunie.

W przeddzień dwóch pogrzebów męża i kochanka, potworna kobieta została zamknięta w więzieniu.

Na tle powieści W. Mitchela sfantazjował

W. K.